

Nazywam się Halina Giemza z domu moje nazwisko Dziedziul Halina. Urodziłam się 7 lutego 1930 roku w Białymstoku. Przed wojną, w chwili wybuchu wojny mieszkaliśmy w Białymstoku przy ulicy Jurowieckiej 60. Rodzina nasza składała się z 5 osób, tzn. rodzice i troje dzieci. Jak wybuchła wojna, to dzieci były w wieku 6, 9 i 10 lat. Z chwilą wybuchu wojny ojciec został zmobilizowany do wojska i wrócił po dwóch tygodniach. Cieszyliśmy się ogromnie, ale radość nasza nie trwała długo, gdyż został aresztowany przez NKWD w tymże 1939 roku 22 grudnia, przed samym Bożym Narodzeniem. A nas wywieźli na Syberię w dniu 13 kwietnia, w zasadzie w nocy, bo odbyło się to w nocy z 12 na 13 kwiecień. Zbudził nas łomot kolb w drzwi. Weszło czterech uzbrojonych rosyjskich żołnierzy. Powiedzieli do mamy coś po rosyjsku, po czym później mama nam wytłumaczyła, że powiedział nam: "Proszę się wybierać pojedziecie do męża. Otrzymaliśmy, właściwie to mama, bo dzieci nic nie pomagały, otrzymała dwie godziny czasu na spakowanie się i wybranie się w drogę. Nie wiem, bo nie widziałam co tam, co mama zabierała, co pakowała. Ja po ubraniu się już w palto, spostrzegłam tylko swoje wstążki, bo miałam warkocze, i zabrałam te wstążki do kieszeni. Wyszliśmy jeszcze była noc. Na ciężarowy samochód nas załadowano, odkryty taki wielki ciężarowy wóz. Władowaliśmy się. Nie było tam żadnych siedzeń, więc siadaliśmy gdzie kto mógł na przygotowane przez mamę tobołki. A ci żołnierze, było ich czterech, umiejscowili się każdy w rogu, w czterech rogach, tego samochodu. I zawieźli nas na dworzec i kazali się załadować do towarowego wagonu. Pociąg był długi, składał się też cały z towarowych wagonów. W wagonie było już trochę ludzi. Były tam zbudowane specjalne prycze piętrowe po obu stronach wagonu. Zajęliśmy miejsce po prawej stronie, pamiętam, tyle ile na ile można, ile miejsca zajmował jeden materac. Było nas czworo i właśnie na tym materacu spędziliśmy dziewiętnaście dni i nocy, bo tyle wynosiła ta

nasza cała podróż. Potem doładowywali coraz więcej ludzi, do białego dnia. Cały dzień staliśmy na dworcu. Były ogromne pragnienia, pić i po prostu potrzeby fizjologiczne. Nie wypuszczano nas. Dopiero pod wieczór po kilka osób wypuszczali, z tym że nie można było się nawet schować przed żołnierzami i trzeba było kucać tutaj przy nich, bo nie wolno było odejść nawet na krok. Nie wolno było, też pamiętam, zbliżać się nikomu do wagonów, bo słychać było krzyki. W wagonie panował taki półmrok, bo okienka, były takie dwa małe okienka tylko tam gdzie były prycze, ale wysoko nad tymi, jakieś takie trochę zakratowane, nie pamiętam, albo paski tam takie pozabijane. Potem powieźli. Wieźli nas przez 4 dni, to nie dostaliśmy nic do jedzenia. Ci co mieli jakieś suchary, jakiś chleb - dzielili się, ale nie za bardzo, bo wszyscy byli głodni. Bardzo wrażenie takie przygnębiające sprawiała taka para dwóch staruszków. No nie wiem po ile mogli mieć lat, na pewno gdzieś po osiemdziesiąt, bo w ogóle nie chodzili, tylko siedzieli. To prawdopodobnie byli fabrykanci z Białegostoku, nie pamiętam, jakie były ich nazwiska. Poza tym przygnębiające bardzo wrażenie sprawiała kobieta, matka dwutygodniowego dziecka, która nie jadła nic i to dziecko po prostu skonało z głodu na jej rękach. Nie mogliśmy nic zaradzić, bo nawet jak już nas zawieźli za granicę gdzieś, to pamiętam, że ludzie prosili przez to okienko żeby pozwolili mleka. Po prostu spuścilibyśmy bańkę i pieniądze, i żeby ktoś doniósł mleka, trochę tej matce. Niestety nie pozwolono. I to dziecko zmarło z głodu. Więc całą drogę ta matka tak wiszczała, że po prostu ani w dzień, ani w nocy nie mieliśmy spokoju. Na którymś z dworców tego trupka zabrali. Ta matka wiszczała przez całą drogę.

Zawieźli nas najpierw do Pawłodaru, po tych dziewiętnastu dniach. Pamiętam, że po południu to było i to był taki ogromny drutem ogrodzony plac i też byli strażnicy rosyjscy, żołnierze chodzili naokoło. Tam siedzieliśmy przez całą noc. Pamiętam, że moja mama zabrała pie-

rzynę, całe szczęście, to nas troje zawinęła w tą pierzynę i żeśmy tak spali w nocy. A rodzice, rodzice - przeważnie były to kobiety i dzieci, nie widziałam mężczyzn oprócz właśnie tego staruszcza, który jechał z nami w wagonie. A rodzice, oczywiście te kobiety, to zanim myśmy nie uspaliśmy, to nie widzieliśmy żeby któraś się położyła. W drugim dniu po przyjeździe poprzyjeżdżały samochody i partiami rozwozili te kobiety z dziećmi. I nas zawieźli 22 kilometry od tego Pawłodaru, była to taka wieś, nazywała się Padściopnaje ferma nr 3, właśnie to był sowchoz, gdzie zajmowano się chówem bydła. Najpierw wstawiono nas do takiego jednego pomieszczenia, to się tam nazywało Krasnyj ugołok, myśmy mogli przetłumaczyć - Czerwona świetlica. No i też wszystkich na gromadę. Oczywiście płacze, jęki, bo strasznie ludzie tacy, których myśmy nie widzieli, to Kazachy, ich nazywali. Takie czapki, czapy ogromne, skośne oczy, w ogóle bez nosów, tylko taki przodek nosa, a tu między oczami w ogóle nic. Kobiety podniosły straszny płacz, że to są dzicy ludzie i pojedzą. Mnie to ogromny śmiech ogarnął. Nie dlatego, bo też się bałam, ale te płacze, takie były jęki różnego rodzaju. Potem z tego Krasnego ugołka, powiedzieli nam, że możemy sobie chodzić po tej wiosce i wybierać mieszkania, a dlaczego wybierać, czyżby ich tam było za wiele? Nie, ale to było w ten sposób, że część tych mieszkańców wyjeżdżała na lato (w późniejszym okresie my też), z tym bydłem gdzie wypasało się to bydło i kosiło trawę, bo tutaj gdzie myśmy byli w tej wsi, to tam w ogóle nie rosła trawa, tam tylko na wiosnę był taki zielony step, a potem słońce wykipało, było bardzo gorąco, bosą nogą na piasek nie można było stąpić, takie gorące. Po prostu nie było karmy, to część tych mieszkańców, tubylców wyjeżdżała z tym bydłem.

Kobiety posłały nas, dzieci, biegaliśmy po tych popustoszałych niektórych chatkach, no ale zaintrygowało nas, że jak wchodzimy do tego pustego domu, to coś nam tak wiele tak skacze na nogi. Potem

zorientowaliśmy się, że to pchły po prostu. Urządziliśmy konkurs, kto dłużej postoi, kto więcej tych pcheł będzie miał na nogach. I w ten sposób pozajmowaliśmy te mieszkania, powiedzieliśmy swoim mamom i poroznosiliśmy te wszystkie swoje rzeczy. Brud był niesamowity w tych mieszkaniach. Pchły to mało, różne tarakany, pluskwy. To w ogóle nie można było spać pod ścianą. Staraliśmy się układać te swoje sienniki na środku tych mieszkań, to to ono wszystko spadało po prostu z sufitu. To nie były tam normalne domy, tylko wykopane w ziemi, takie malutkie, niskie domki z malutkimi oknami już na ziemi, ziemia stykała się z oknem, może pół metra i był już dach i tam komin. Zajęliśmy też to mieszkanie i nasi "dobrodzieje" następnie powiedzieli, że niestety u nas kto nie rabotajet, tot nie kuszajet i muszą kobiety iść do pracy. Zgodziły się. Poszły do tej pracy. Mama przyszła wieczorem i mówi: "Nie macie pojęcia co to za praca, ale jaka ja jestem szczęśliwa, że akurat taką dostałam, a nie inną". Okazało się, że właśnie te Polki, to wszystko była inteligencja, wysłali do lepienia (bo tam w ogóle nie było drzewa, tam się paliło nawozem). Ponieważ była tam hodowla bydła i dużo było nawozu, to ten cały nawóz zwoziło się całą zimę na ogromną taką gromadę, a wiosną to po prostu produkowało się paliwo z tego. Część się tego odrzucało. W środku był taki koł i do tego koła przytwierdzało się w jakiś tam sposób woła, bo tam w ogóle tylko wołami pracowało się. Tam konia ani żadnej maszyny to ja nie widziałam, tylko woły ciągnęły wszystko. I tego woła, a wiadomo to jest symbol tępoty i nie bardzo to to pracowite, trzeba było poganiać i polewało się to wodą na około tego kołka i ten wół chodził i miesił to, i dopiero jak się to rozmiesiło, to wtedy to się przenosiło na taczki i taczkami wozilo się w pole i jedna z kobiet widłami rozkładała takie porcje, a reszta musiała uklepywać w takie jakieś foremne bryły. No i mamie akurat dostały się te widły. Była zadowolona, że nie musi tego klepać.

A do palenia, to też musieliśmy my, dzieci, chodzić po tym stepie i zbierać te wszystkie. Najpierw to robiliśmy przez papierki, a potem to nie robiło wrażenia, że to się nosi. Mama była bardzo zadowolona, że akurat te widły jej się dostały. Ale potem robiła to samo co wszyscy. Potem już pod jesień...

Jeżeli chodzi o jadłospis, to było tylko tyle, kto pracował, choćby miał tylko jedno czy pięcioro dzieci, to otrzymywał kilogram chleba. Nas było czworo i ten kilogram chleba mama dostawała, to znaczy kupowała i to nam wystarczało od jednej doby do drugiej. Jak się zjadło kawałek chleba, to trzeba było czekać do jutra. Z tym, że nie zawsze ten chleb się dostawało, bo coś tam się w piekarni zrobiło i chleba nie upiekli to mąkę przywoziliśmy, tylko nie pamiętam, mąki odpowiednio mniej. Więc tym kilogramem chleba, z początku to jeszcze tam mama miała trochę to ubranie nasze, bo najpierw jak żeśmy przyjechali tylko, to kto był najładniej ubrany, no to Polak, a później powiem jak wracaliśmy w jakich ubraniach - największy właśnie łachmaniarz, to był Polak, po tym można było poznać Polaka, że w największych łachmanach chodził.

Potem pod jesień, to znowu mama właśnie pracowała w tym Krasnym ugałku sprzątała tam, paliła w piecach. No i tak żyliśmy. Najbardziej to mnie, mnie, jako dziecku, to najbardziej ciążył głód, bo zawsze człowiek był głodny, zawsze, bo tego chleba to by cały kilogram zjadł i się nie najadł, a zwykle tylko kawałeczek i w związku z tym przeważnie zajęcie takie miałam, że siadałam pod tą chałupą, a droga którą ten chleb wieźli, to było widać daleko, daleko, bo tam tylko step, droga stykała się aż z niebem. I właśnie tą drogą ten chleb zawsze przywozili. Jak usiadłam rano, to nieraz do wieczora siedziałam i wypartrywałam tego pojazdu z chlebem. Piętnaście, a gdzie - sto razy widywałam to, po prostu mi się wydawało, że ten już jedzie, a to nieraz przyjeżdżało pod wieczór. I były nawet takie sytuacje,

że jak tego chleba przywieźli mniej, a wiedzieli ile mają tam osób pracujących, no to jak się stało w kolejce, pamiętam raz podeszłam, to powiedzieli: "Tobie chleba niet, bo ty Polackzka". Więc zaczęłam płakać, a oni, że i tak dobrze się tu nami zajęli, bo gdyby to oni do nas przyjechali, toby mieli dużo gorzej. W tę jedną zimę mieszkaliśmy właśnie w tym zapluskwionym mieszkaniu. Ponieważ nie wszystkim starczyło, to nawet tam nie pojedynczo mieszkały rodziny, po kilka rodzin. Ja mieszkałam na przykład z taką Panią Zarębską, miała dwie córki, też z Jurowieckiej ulicy. A na drugą zimę to już, nie wiem czy mieszkań było za mało, czy przestali nas już tak bardzo lubić... Aha! Jeszcze jak przywieźli, to powiedzieli, że przed tym zanim myśmy do tych mieszkań nie rozeszli, że mamy tutaj być i oswoić się z myślą, że stąd już nie wyjedziemy, mamy sobie budować tutaj domy ziemianki, bo swoją Polskę to tak zabaczymy jak swoje ucho bez lusterka.

Na drugą zimę to wywieźli wszystkie rodziny polskie do takich pięciu domków, które były oddalone od tej wsi kilka kilometrów. Nie byłoby to może i nic takiego złego, ale tam były ogromne zimy i nie było mowy, żeby przyjść pieszo, bo pozawiewane drogi nieraz rano się wstawało, to jedni drugich odkopywali, bo to wszystko było zawiane śniegiem. Mama już w tę drugą zimę to pracowała w tych właśnie bazach (oni tak nazywali te budynki, gdzie stały zwierzęta) przy wyrzucaniu gnoju. Był przeogromny głód, bo ja już nawet sobie nie przypominam żebyśmy chleb ten dostawali. Więc jedliśmy często, bo przynosiła mama takie kołaczki (to się po polsku nazywa), to były takie plastry wyprodukowane z jakichś pozostałości po produkcji oleju. To były takie twarde, że można było sobie zęby połamać, ale rozgrzewaliśmy to w popiele no i jedliśmy. Odgrzewane były w popiele, bo tam nie mieliśmy ani garnków, ani patelni i to wówczas dało się zjeść, bo było trochę bardziej miękkie.

Ponieważ sytuacja stała się taka po prostu katastrofalna jeżeli chodzi o wyżywienie... Poza tym ratowały się jeszcze kobiety, ratowały siebie i dzieci przed głodową śmiercią, wymianą swojej odzieży na co tylko było można, to znaczy na jakieś tam kilkanaście litrów mleka czy jakiś pud mąki albo wiadro kartofli. Tą odzież wymieniali, jakiś kawałek materiału, ktoś miał. Pamiętam mama też jakieś materiały wymieniała. Jak już się miało trochę mąki to było już wesele, bo zacierka była rano na wodzie i wieczorem. Chociaż, to też z uwagi na to, że zawsze się było głodnym nigdy nie można było powiedzieć, że ja już nie zjadłabym więcej, ale dużo znaczył sam fakt, że było już coś do zjedzenia. Poza tym jeszcze, jeżeli chodzi o wyżywienie, to ~~na~~ chodziło się... Był tam taki budynek w którym otrzymane mleko było odtłuszczane i część tego mleka przeznaczone było dla cieląt, ale matki wysyłały nas z garnkami i jak się tam postać godzinę albo i więcej gdzieś w rogu, to ten co łapał to mleko dla cieląt zlił w czasie i wlał trochę tego mleka i nam. Ja na przykład nie mogłam chodzić po te mleko. Brat starszy o rok był, częściej chodził, ale często się buntował. Jak była moja kolejka, to byliśmy bez mleka, bo po prostu nie mogłam chodzić tam i stać.

Sytuacja doszła do tego stopnia, że nic nie mieliśmy do jedzenia oprócz tych kołaczy, więc mama poszła do tego przewodniczącego i po prostu błagała, prosiła żeby nam zezwolił pojechać, bo... Jeszcze musiałabym wrócić, jeżeli chodzi o wyżywienie. W czasie lata to jeszcze mama chodziła... Z początku to jeszcze kobietom nie wolno było chodzić samym do tego Pawłodaru, trzeba było u przewodniczącego załatwiać i on dawał takiego opiekuna i z tym opiekunem się chodziło. Ale później, z czasem wiedzieli, że matka od dzieci nigdzie nie pójdzie i poza tym tam same stepy. Tam by człowiek w tych stepach gdzieś tam zginął z głodu. Więc chodziła sama i zabierała nawet brata tego mojego starszego o rok. Chodzili do tego Pawłodaru 22 kilometry.

Tam można było czasami, jak nas tylko przywieźli, przecież oni jeszcze, tam nie było wojny, czasami w kolejce gdzieś wystać chleba. To jeszcze i tym dokarmiała nas mama, ale to często nie było, bo raz, że daleko to trzeba było iść cały dzień w jedną stronę, gdzieś tam nocować, cały dzień w drugą. No a ten chleb zjadło się w mig. Sytuacja była katastrofalna, pewnej zimy. Już nam śmierć głodowa zaglądała do oczu i mama prosiła, błagała tego przewodniczącego żeby nam jakoś umożliwił wyjazd. To był 1942 rok. Mama chodząc tam do tego Pawłodaru poznała pewną Panią (pamiętam jej nazwisko - Kacperska) i uzgodniła z nią, że przyjeżdża ona by nas do siebie na to mieszkanie. Ona mieszkała z dwiema córkami, też dorosłymi. Ten przewodniczący dał nam taki wóz i wołami jechaliśmy do Pawłodaru. To było w lutym i w pierzynie siedzieliśmy. Tam, pamiętam, mama pracowała w fabryce, w której produkowano takie ciepłe buty (walonki u nas by powiedziano) tylko, że tam szczególne bo bez kaloszy, takie twarde. A my nie robiliśmy nic, bo k do szkoły nie chodziliśmy. Tam w tym sowchozie szkoła była kilka kilometrów. Przede wszystkim nie mieliśmy takiej odzieży żeby dziecko mogło pójść do szkoły, a po drugie jakoś nikt nie myślał na ten temat. Z resztą co tam po rusku było się uczyć. Nic nie robiliśmy. Wtedy ja, gdy byliśmy w Pawłodarze, zachorowałam na szkarlatynę. Byłam w szpitalu. A w międzyczasie, jak ja byłam w szpitalu, zachorował ~~młodszy~~ młodszy brat (o trzy lata młodszy ode mnie) na dezynterię. Tam rosła taka trawa zupełnie podobna w smaku do szczypioru. I tę trawę niektórzy sprzedawali i on zjadł cały pęczek tej trawy i napił się wody. Dostał dezynterii, leżał w szpitalu. Nawet tam doktorem była Polka, ale od razu powiedziała, że nic się nie da zrobić, bo za bardzo wycieńczony organizm. Miał 9 lat. Ale jak już wyszłam ze szpitala, on jeszcze leżał i poszłam go odwiedzić, mama była przy nim, to mama nosiła go na rękach, to była tylko skóra i kości, pamiętam.

To było leżenie. Tam nie było lekarstw. Tylko pamiętam, że by-
łam zadowolona, bo dostawałam co nieco jeść, ale jakie tam dania
były, z czego, to już nie pamiętam.

Brat zmarł. Został pochowany tam na cmentarzu. Z tym że bez tru-
mny, tylko wykopało się taki dół a potem podkop żeby nie rzucać bez-
pośrednio ziemi na twarz. To było we wrześniu 1942 roku, brat zmarł.

W międzyczasie otrzymały Polki takie dokumenty, na podstawie któ-
rych (powiedziano tak nam) będziemy wywożeni do Polski. Tam był
także utworzony Związek Patriotów Polskich. Dostawaliśmy pomoc cza-
sami jakąś tam mąkę, chleba nawet bochenek nieraz, obuwie (bo cho-
dziliśmy dosłownie boso). I wydali wszystkim dorosłym kobietom takie
dokumenty, wszyscy się cieszyli, że pojedziemy już do Polski, że
będziemy wracać.

Ojciec nie kontaktował się tam z nami. Dopiero tu jak wróciłyśmy.

Po otrzymaniu tych dokumentów wszyscy byli pełni nadziei, że bę-
dziemy wracać. Ale w marcu 1943 roku, właściwie przedtem już słysze-
liśmy, że Polki są wzywane do milicji i zobowiązywano je tam do zda-
wania tych dokumentów i podpisywania rosyjskiego obywatelstwa. I ma-
ma dostała takie wezwanie. Pamiętam, że od razu zabrała ze sobą to
co tam mogła, taki tobołeczek i poszła. I więcej już nie wróciła.
To znaczy nie wróciła do domu i tylko za kilka dni przyszła do nas,
to znaczy do mnie i brata ten starszy jeszcze był, czy my chcemy
zobaczyć się z mamą. " No oczywiście, że chcemy." Więc zaprowadzili
nas już do więzienia. Taki długi, pamiętam, stół i mamę wyprowadzi-
li i zaczęli agitować, że dzieci, że rebiata, że powinna jednak ten
dokument oddać a to obywatelstwo podpisać, bo inaczej to... Tam do-
stawaliśmy kartki (jeżeli chodzi o wyżywienie) na chleb, z tym, że
tam już racje były mniejsze, bo otrzymywało się 15 deko chleba na
dzień. Ale mama była niestety nieugięta i powiedziała, że swego ob-
ywatelstwa się nie wyprze i tego nie odda. W związku z tym nas z tego

więzienia wypuścili, a mamę zostawili. Mama była tam w lagrach przez 2 lata, do 1945 roku.

Jak już zabrakło mamy, to była czarna rozpacz. Bo mało że tego chleba było mało, to jeszcze nie było za co go kupić. Z tymże (ja zawsze mówię) że gdyby nie ten mój starszy brat ja już bym tam umarła dziesięć razy, bo ja (były wypadki) nie jadłam po trzy dni. Kpili ze mnie, że ja pani balszaja, że nie idę prosić. Nie mogłam. Po prostu nie mogłam chodzić tam na żebyry gdzieś. Tylko pamiętam, że tam w jednym mieszkaniu była drewniana podłoga, a jego właścicielka pracowała w piekarni i przyszła poprosiła żebym ja jej tę podłogę umyła. Ja chętnie się godziłam (potem kilka razy do niej chodziłam), bo tę kartkę swoją już oddawałam bratu, on miał więcej chleba do zjedzenia, a ja tam u niej dostawałam kawałek. Ale tym razem skaleczyłam sobie nogę, piętą takim drutem. Zaczęła mi narywać pięta i spuchła mi noga do kolana. A tam ani lekarza, ani jakichś leków. Sąsiadka przyszła i mówi: "Na to nie ma innej rady trzeba by chleba porzuć z solą i przyłożyć do tego". Ba, chleba, ale skąd? Ja mówię: "Ja nie mam chleba". "No to ja ci przyniosę". Przyniosła mi jeden kęs chleba, który posoliła bardzo mocno. Stała nad łóżkiem (a ja siedzę z tą bolącą nogą) i ta gospodyni u której ja mieszkam i rozmawiają coś, a ja siedzę i zjadłam ten chleb. I ona wreszcie mówi: "No gdzież ten chleb?". A ja po prostu nie miałam siły tego chleba wyrzucić z ust. I mówię do niej: "Zjadł się". One się wyśmiały ze mnie, ale ona mówi: "To ja już więcej też nie mam". Stało na tym, że kartofel potarły na tartce i przyłożyły, bo już drugiego kęsa chleba ani ona mi nie dała, a ja tym bardziej go nie miałam. To jest naprawdę takie uczucie niecodzienne, bo on był aż gorzki od soli ten chleb, jednak nie miałam siły go wyrzucić żeby sobie tę nogę podleczyć. Tą kartoflą one mi nogę wyleczyły.

Jak mamy nie było, to ja pilnowałam dzieci u takich Rosjanek. Po

prostu człowiek się poniewierał bardzo. Bolały mnie zęby i też nie było rady, nie było ani dentysty, ani jakiegoś środka znieczulającego, więc ząb bolał całymi tygodniami. Ja płakałam i w dzień i w nocy. A ta kobieta u której pilnowałam dziecko, to jeszcze potrafiła nakrzyczeć, że ja jej spać przeszkadzam. Nikt się nami nie zajmował. Myśmy przez te dwa lata tak pałętali, gorzej jak dziady, bo tam nawet nie było kogo o coś poprosić. Ja przy tych pomocach takich przy dzieciach. A jeżeli chodzi o brata, to zabrali go... (u nas zaraz po wojnie było takie zrzeszenie SP - Służba Polsce tam ochotnicy się zgłaszali np.: na żniwa,, tam to było też coś w tym rodzaju, z tym że to było przymusowe). To się nazywało FZO (fezeo - u nich charakterystyczne są te skróty), nie wiem jak to się dosłownie nazywało. Do tego FZO zabrali mojego brata w roku chyba 1944. Niestety ślad po nim zaginął. Nie można się było z nim ani porozumieć... Najpierw przysłał list i adres miałam, a potem listy zaczęły wracać. Wystarczyło tam jedno słowo - "Wybył" i koniec i brata nie było. I brat wrócił dopiero w 1957 roku podczas tej drugiej repatriacji. (Mnie nie opowiadał, nie wiem co on tam robił, ale z mamą rozmawiał. Więc mama mówi, że włosy się jeżą, wszędzie był i w więzieniu i w kopalniach. Tak się właśnie z Polakami tam obchodzono).

I mama wróciła w 1945 roku. Przed samym zakończeniem wojny. Pamiętam zakończenie wojny, ogłosili tam, ja znowu chorowałam na malarię. Trzęsła mnie febra. I w tym dniu, gdy tam wszystkich wzywali na ten plac, zamiast się cieszyć, że skończyła się wojna, to ja leżałam na podwórku, na szmacie, na słońcu, to w czasie gdy febra trzęsie, to zimno jest bardzo, choćby się pod pięć pierzyn schować...

W 1945 roku dali nam już w szkole, kilka klas wydzielili i zaczęli zapisywać do szkoły. Ja przed wojną zaczęłam się uczyć w trzeciej klasie, ale ponieważ ja tam w ogóle się nie uczyłam, to ja nie umiałam nic, pszenica pisałam przez rz, pomnożyć cyfry przez cyfry, no

nic. I tam Polki (też wywiezione) nauczycielki uczyły trochę nas. * To trwało do lutego. A w lutym, 19 lutego ogłosili przez te swoje głośniki że będą nas wywozić, do Polski. Podobnie nas wieźli z powrotem, w wagonach towarowych. To było w dzień z rana załadowaliśmy się do wagonów, a dopiero po południu te wagony ruszyły. I ja wyszłam sobie tak trochę, ale patrząc zdaje mi się, że czy mi się zdaje, czy to koło się kręci, a ten pociąg ruszył. Ledwie dobiegłam. O mały włos byłabym została. Ale jakoś wciągnęli mnie do ostatniego wagonu. Nazad jechaliśmy cały miesiąc od 19 lutego do 16 marca. Z tym, że wieźli nas... Powiedzieli, że na Ziemię Odzyskaną. Kto pojedzie na Ziemię Odzyskaną, to tam dostanie jakieś gospodarstwo i mieszkanie, a kto by tam zechciał gdzieś po drodze wysiąść, no to już musi na własną rękę się urządzać. Ponieważ nas wywieźli z Białegostoku, tutaj jeszcze babcia (mama mama) mieszkała i ojca brat, więc myśmy wysiedli w Warszawie z mamą i jeszcze jedna pani z synem. Warszawa była w gruzach. Jak myśmy byli ubrani. Przewoził nas samochód ciężarowy i dwóch panów było na tym samochodzie i jeden pyta: "Skąd to wy wracacie?", a drugi mówi: "Nie widzisz, że z rajów". Ja byłam ubrana... Na głowie miałam szmatę, dosłownie szmatę z jakiejś starej koszuli, na sobie kożuch ze źle wyrobionej skóry, pociągnięty jakimś czarnym materiałem (też szmatą), który dała mi kobieta u której ja pilnowałam dziecko, na nogach zamiast pończoch miałam rękawy z jakiejś koszuli, a buty ze świńskiej skóry, też nie wyrobionej, takiej jak deszcz pakdał, to ona była śliska i nie można było w ogóle pozawiazywać tych butów, a podeszwy były z gumy takiej z jakiej są opony samochodowe.

Jak wróciliśmy, to najpierw mieszkaliśmy u babci. Nikt się tu nami nie zajął. Ja poszłam do szkoły. Zaprowadziła mnie ciotka. Wzięli mnie do piątej klasy na próbę, nie wiem czy z litości, czy rzeczywiście coś pojmowałam. Przeszłam do tej szóstej. Źle mówiłam po polsku.

Nie umiałam poprawnie mówić. Polski i przyroda to były dla mnie okropne lekcje. Nie wiedziałam nawet jaki liść z którego drzewa, jaki kwiatek jak się nazywa. Po polsku nie umiałam się wysławić. Przez dwa lata mało się mówiło po polsku między rosyjskimi ludźmi. Nie płaciła mama za szkołę.

Tak byłam ustawiona, że w swoich ankietach nie pisałam że mam ojca za granicą, bo to też było źle widziane. Represjonowana nie byłam.

Jeżeli chodzi o ogół, to oni źle na nas nie patrzyli, bo tam przeważnie gdzie myśmy byli, to tam byli i zesłańcy rosyjscy. Na przykład ta kobieta u której myśmy mieszkali, to była żoną wojskowego i też on coś tam przyskrobał (nie wiem co) i ona z synem też została zesłana. Poza tym druga też dwoje dzieci miała, też była gdzieś z Leningradu zesłana, tzn. nie tylko na skutek działań wojennych (bo i tacy tam potem byli co uciekali od Niemca) ale bo byli od lat już tam mieszkali ludzie, także oni... Niemka też była zesłana, z mamą pracowała w szpitalu. Ci ludzie do nas się odnosili dobrze, ze zrozumieniem dlatego, że sami tego doświadczyli.